

BIADA NIEPROSZONYM GOŚCIOM

Świat jest duży. Ta banalna myśl znana jest już dziecku. Trudno o miejsce, gdzie w pobliżu nie żyłyby żadne stworzenia. Tysiące kucyków i innych istot skupiają się w miastach czy wioskach, wspólnie zasiedlając tę ziemię, nadając jej przez to znaczenie. Bo ile warta byłaby ta ziemia, jeśli nie dawałaby życia?

Wszystkie te stworzenia żyły jednak swoim życiem, w swoich miastach i wioskach, wśród swoich krewnych, przyjaciół i znajomych, których przecież nie było dużo w porównaniu z ogólną liczbą mieszkańców Equestrii i terenów poza nią. Każdy zamieszkiwał swój skrawek ziemi, a kucyki z jej drugiego końca były czymś mglistym, wręcz wątpliwym – czymś, o czym niby się wiedziało, ale czego równie dobrze mogłoby nie być. Biorąc to pod uwagę – może zamiast mówić o jednym, wielkim świecie, powinniśmy patrzeć na to, jak na setki malutkich, różnych światów?

Miasteczko Brassgate było właśnie takim małym światem. Położona na południe od pustyni San Palomino, na terenach dość suchych, ale wciąż zazielenionych, nie wyróżniała się absolutnie niczym, o czym warto byłoby wspomnieć przy jej opisie – może za wyjątkiem High Note'a, kucyka, który codziennie siedział oparty o ścianę budynku znajdującego się przy głównym trakcie w środku miejscowości i grał na harmonijce piosenki przeróżnej maści – od smętnych i poważnych, po lekkie i wesole. Jako że wychodziło mu to wcale nieźle, mieszkańcy nie protestowali przeciwko tej działalności i zaakceptowali jako element miejscowego krajobrazu, wspomagając go co jakiś czas groszem lub jedzeniem.

Ten dzień także nie był pod żadnym względem wyjątkowy. Słońce nieśmiało zaczynało oprócz światła dawać także odczuwalne ciepło. Wiatr wiejący od strony niedalekich wzniesień wzbijał tumany kurzu na drodze, na której nie było prawie nikogo. Ciszę zakłócały jedynie dźwięki harmonijki oraz odgłosy będące jednym z nielicznych przejawów życia w tym miasteczku – takie jak trzask zamykanej okiennicy, czy stłumione dźwięki rozmów z mieszkań lub z miejscowego baru.

Innymi słowy – Brassgate żyło swoim codziennym, sennym życiem. A obserwatorami tego życia były dwa kucyki, siedzące oparte o ścianę jednego

z budynków położonego już na skraju miasteczka.

Jolly Hop i Bluehorn byli kolejnym stałym elementem krajobrazu Brassgate, tak jak był nim High Note. Dwóch ogierów – jeden kucyk ziemny, a drugi jednorożec, widzianych za dnia niemal zawsze razem, znani byli z nierobienia absolutnie niczego poza siedzeniem gdzieś w mieście i raczeniem się różnej maści napojami. Wtopili się w tło tak, że społeczność miasteczka i na nich już nie zwracała żadnej uwagi.

W tym dniu, jak i w prawie każdym innym, dwóch przyjaciół czyniło zadość swej codziennej rutynie, patrząc bezrefleksyjnie na otaczającą ich rzeczywistość, co jakiś czas przerywając ciszę zdawkowymi i banalnymi uwagami o pogodzie, miasteczku czy ubiorze jakiejś klaczy.

Pogoda była całkiem przyjemna do takiego przesiadywania – nie było za gorąco, a w razie czego i tak wiał lekki, ochładzający wietrzyk. Oprócz tego, dwóch ogierów dodatkowo miało do swojej dyspozycji napoje – Jolly Hop dzierżył butelkę zawierającą płyn, który naiwnie byłoby posądzać o to, że jest bezalkoholowy, natomiast obok Bluehorna stał termos o tajemniczej, póki co, zawartości.

Tymczasem wiatr lekko zażółcił powietrze, najwyraźniej przynosząc ze sobą tuman piasku. Jolly Hop odruchowo zmrużył oczy i obrzucił spojrzeniem drewniane, proste budynki Brassgate.

– Krajobraz jak w jakimś westernie. I ten nasz bar, prawie jak saloon. Brakuje tylko przelatujących tych... no, jak to ma...

– Co? – spytał obojętnie Bluehorn.

– No wiesz, tych takich... – Jolly Hop zaczął pomagać sobie przy użyciu gestów – Tych, no, kłębków siana jakby... co przetaczają się po ziemi... To się jakoś nazywa, ale nie wiem jak.

– Może “kłębki-siana-co-przetaczają-się-po-ziemi”?

– Ach, wiesz co, nie pomagasz – kucyk ziemny machnął kopytem.

Bluehorn wzruszył ramionami:

– A jakie to ma znaczenie? Niech się to nazywa, jak chce.

Jolly Hop westchnął:

– I co mi dały te wszystkie lekcje biologii w szkole? Nic. I kto mi powie, że szkoła nie jest głupia?

– Wagarowałeś pewnie.

– W sumie... – Jolly Hop zadumał się na chwilę – Tak, to prawda. Właśnie dlatego, że szkoła była głupia.

Jednorożec westchnął i pokręcił głową, nie mając siły na wytłumaczenie Jolly Hopowi logicznego błędu, który właśnie popełnił. Ten tymczasem dorzucił po chwili:

– Ta szkoła zmarnowała mój, ten, no... potencjał! I teraz, zamiast być porządnym, bogatym obywatelem, pozostało mi to!

Po czym przytknął do ust butelkę, wypijając jej zawartość. Po chwili odsunął ją od twarzy i przytknął jedno oko, by drugim zlustrować wnętrze flaszki.

– No i skończyło się... – rzekł niemalże filozoficznie – Chyba będziesz musiał się ze mną podzielić swoim.

– Mojego nie będziesz pewnie chciał pić – odpowiedział Bluehorn.

– Ta? A co tam w ogóle masz?

– Obczaj to.

Jednorożec podniósł termos i odkręcił go, po czym wlał zawartość do pokrywy służącej teraz za kubek. Jolly Hop wyciągnął szyję, by ujrzeć brązowy, parujący płyn, który Bluehorn zamierzał wypić.

– Herbata? – skrzywił się kucyk ziemny – Pogrzezło cię? Po co pijesz herbatę, jeszcze się otrujesz...

– Postanowiłem zrobić sobie przerwę w piciu – odrzekł Bluehorn, biorąc łyk – Ostatnio chyba przesadzałem, bo źle się czuję. O zdrowie trzeba dbać...

– Ta, jasne – mruknął Jolly Hop – Zobaczysz, pecha ci to przyniesie.

– Niby czemu? – jednorożec podniósł brwi.

– Nie wiem. Ale powinno ci to przynieść pecha.

– Uważaj, żeby tobie nie przyniosło – odgryzł się Bluehorn.

Ponownie między dwoma ogierami zapadła pełna kontemplacji cisza. Wiatr zachowywał się dość nietypowo, czyniąc ruchy konwekcyjne i wzniecając mgiełkę kurzu nad całym miasteczkiem. Bluehorn osłonił się kopytem od słońca, które zaczęło go razić. Naprawdę ostatnio czuł się źle, ale teraz zaczął czuć się... dziwnie. Kto wie, może Jolly Hop miał rację, mówiąc, że otruje się herbatą? Może żona coś do niej dosypała, bo ma już go dość...

Tymczasem Jolly Hop siedział z tępym, lekkim uśmiechem na twarzy. Po chwili wybełkotał:

– Heh... Tyle tego... no, dymu... jakby ten... jakby stado tych przebiegło... bawołów...

– Czego? – Bluehorn zwrócił do niego głowę.

– No, tych no... Bawołów tych, z rogami...

Jednorożec zakrył twarz kopytem:

– No ja pier... Ja rozumiem nie chodzić na lekcje biologii, ale żeby nie mieć

podstawowej wiedzy o rejonie, w którym się żyje...

– O so ci chozi? – Jolly Hop spojrzał mało przytomnie.

– Kurwa, jakie bawoły? Skąd tu bawoły? Przecież tu są bizony! BIZONY, DO CHOLERY!

– Oj dobra, nie denr...derenwuj się tak. Bawoły, bizony, jaka różnisa... Dla mnie to mogą być... psy....

Jolly Hop musiał sobie urządzić przerwę po tej wyczerpująco długiej wypowiedzi. Oparł głowę o ścianę budynku i utkwiał bezmyślny wzrok w losowym, nic nie znaczącym punkcie. Bluehorn także się oparł, próbując się uspokoić po tej wymianie zdań. Czas jednak mijał, a jemu się to nie udawało. Jak można nie wiedzieć takich rzeczy!? Jak można nie widzieć różnicy między bawołem, bizonem, a psem!? Zwłaszcza ten pies przecież się tak mocno różni...

W melodię harmonijki zaczęły wkradać się fałsze, ale Bluehorn nie zwrócił na to uwagi. Skierował wzrok w górę, zasłaniając kopytem Słońce. Przez to wszystko teraz poczuł się już naprawdę źle. Miał jakieś dziwne zawroty głowy, i to Słońce tak razi... Po co w ogóle na nie patrzy? Niebo też zresztą nie było lepsze, raziło swym jaskrawym błękitem... Czemu w sumie ono jest błękitne?

Spojrzał na Jolly Hopa, który dalej siedział w bezruchu i patrzył tępo przed siebie z wyrazem twarzy, który nie zdradzał oznak jakiejkolwiek myśli. Niech se siedzi, cap jeden. Niech se siedzi i nie odróżnia bizonów od bawołów, baran. Bluehorn ma to gdzieś.

Co tu się nagle tak kolorowo zrobiło? To miasto, takie szare i brązowe, i w ogóle... Te budynki, pomalowane deski, na kolorowo, na czerwono, na żółto... I trawa też zielona. Ale żaden nie na niebiesko, jak to niebo... To czemu w końcu ono jest niebieskie, tak w ogóle?

Jednorożec siedział, a w jego głowie wrzał istny tygiel coraz dziwniejszych myśli. Jakaś mała część świadomości Bluehorna zdawała sobie z tego sprawę i chciała opamiętać ten chaos, ale... To było zbyt silne i głos tej małej części był coraz cichszy... coraz cichszy... coraz cichszy...

Bluehorn spostrzegł, jak z kącika ust Jolly Hopa zaczyna ciec ślina, formując świetlistą i wydłużającą się do ziemi strugę. Jednorożec nie przypominał sobie, by wcześniej Jolly tak robił, to chyba nie jest normalne... Może powinien coś zrobić, wytrzeć mu tę ślinę... Błech, obrzydlistwo.

Aż tak go przecież nie lubił. Nie no, trochę go lubił. Ale nie aż tak. Zwłaszcza kiedy go denerwował. W sumie, zna go już tyle lat i co mu z tego przyszło? Nic, tylko to siedzenie, i gapienie się, i gadanie, i siedzenie... O co tu chodzi, jaki to ma sens?

Jolly Hop powoli osunął się na bok, by w końcu leć na ziemi. Po chwili jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki, a ślina zmieniała się w pianę. W jego oczach próżno już było szukać oznak jakiegokolwiek przytomności.

Nie, to chyba na pewno nie jest normalne. Chyba powinien coś z tym zrobić. Chyba na pewno. A może nie? W sumie, zdenerwował go tymi bawołami. Niech ma teraz. Co go to obchodzi? On tu może siedzieć bez końca, i myśleć, i pić herbatę, i patrzeć na te wszystkie budynki. Skoro Jolly Hop nie może, to jego pech.

Konwulsje kucyka ziemnego ustały i jego ciało zamarło w kompletnym bezruchu.

Nie no dobra, powinien coś z tym zrobić. Co tu będzie teraz tak leżał... Przyjdzie śmieciarz i pomyśli sobie, że to jakiś śmieć, i wrzuci go do tego worka, tego, co mają śmieciarze...

Bluehorn podkulił kończyny i zaczął ociężale zbierać się z ziemi. Melodia harmonijki przeszła w jedną, przeciągniętą i fałszywą nutę, która w końcu zanikła – lecz Bluehorn ponownie nie zwrócił na to uwagi. Powziął postanowienie, że poszuka lekarza. Najlepiej neurologa. Albo neurochirurga od razu. Jak nie ma, to wywiesi ogłoszenie albo coś...

Rany, ale ta droga nierówna. I żółta, i taka kurzasta... Jest w ogóle takie słowo? Jak nie ma, to trudno. To wtedy droga nie jest kurzasta.

Przed Bluehornem drzwi baru w Brassgate otworzyły się z hukiem, a w ich progu stanął brązowy pegaz. Kucyk stał przez chwilę, po czym zaczął maszerować przed siebie. Szedł coraz szybciej, jakby nie mogąc utrzymać równowagi i jakby nie zważając, że zbliża się z niebezpieczną prędkością do ściany budynku po drugiej stronie ulicy – w którą to ścianę po chwili uderzył z impetem.

Hm, dziwne. Tak się chyba nie wychodzi z baru. Bluehorn przynajmniej tak nie wychodził, kiedy chadzał do baru.

Cóż, to miasteczko wyraźnie schodzi na bizony. Tfu, na bawoły.

Z góry nagle z dużą szybkością ślizgiem zleciał jakiś inny pegaz, zajmujący się w Brassgate kontrolą pogody. Zmierzał ku ziemi pod małym kątem, jakby chciał wylądować, ale ta sztuka mu się nie powiodła – uderzył w grunt i przekoziółkował parę metrów.

“Będzie latać. Pegazy nisko padają” – pomyślał Bluehorn i była to ostatnia jego myśl, która zachowała namiastki jakiegokolwiek sensu.

Miasteczko Brassgate wyglądało nieszczególnie, niezależnie od perspektywy, z jakiej się je oglądało. Pobliskie wzniesienia, stanowiące dobry punkt obserwacyjny, nie stanowiły wyjątku od tej reguły. Ale tym razem, w tej specyficznej chwili, można było w tej miejscowości zauważyć coś nietypowego.

Brassgate było martwe. Nie szło ujrzeć w nim żadnego ruchu, żadnego życia. Żadnego kuczka przechadzającego się między budynkami. Żadnych otwieranych drzwi czy okiennic.

Widziała to też dwójka kucyków, znajdująca się na wspomnianych wzniesieniach. Dwa jednorożce, z czego jeden był ogierem w już dość zaawansowanym wieku, co można było poznać po włosach delikatnie przyprószonych siwizną, a drugi młodą klaczą, która mimo swej płci i wieku sprawiała wrażenie kogoś, z kim lepiej było nie zadzierać.

- Myślisz, że już można? – spytała klacz, zwracając głowę w stronę jednorożca.
- Tak, myślę, że tak – odpowiedział starszy ogier w dość nerwowy, szybki sposób
- Skoro nawet tamten pegaz już spadł, to tak, chyba już można.

Rwane przez nieznaczące jąkanie się wypowiedzi wskazywały na to, że jednorożec był mocno zestresowany. Najwyraźniej nie czuł się komfortowo w towarzystwie klaczy, która ponownie spojrzała na miasto i rzekła:

- No dobra. Jesteś pewien, że te śmieszne pastylki podziałają?
- Cóż, powinny...
- Urwał, widząc jej groźne spojrzenie. Nie tak to powinno zabrzmieć.
- Jak to w ogóle ma działać? – spytała sceptycznie. Jednorożec odpowiedział ochotczo:
- Cóż, wedle moich badań, ten gaz upośledza działanie komórek mózgowych

i neuroprzekaznictwo, wywołując swego rodzaju mankurtyzację. Klucz w tym, że najpierw musi się przedostać przez barierę krew-mózg jako prekursor substancji, która jest syntetyzowana dopiero w samym mózgu i która wywiera pożądany przez nas wpływ. Substancja zawarta w pastylce natomiast...

– Dosyć, kurwa, dosyć! – warknęła klacz, przytykając kopyto do skroni – Zapomnij, że pytałam. Ustalmy po prostu, że jak mi się coś stanie, to cię zajebię, okej?

Kucyk spuścił głowę, instynktownie kuląc się w akcie obrony. Klacz jednorożca, rzecz jasna, nie zamierzała się tym przejmować. Jeżeli tylko poczuje się trochę dziwnie, natychmiast się teleportuje, a co się stanie z tym starym prykiem, mało ją obchodziło.

Nie było to niczym niezwykłym – trudno było o osobę, która obchodziłaby Lile Blacksun, bo tak właśnie nazywał się ten nieprzebierający w słowach jednorożec. Była kucykiem z rodowodem, można by rzec – pochodziła z prestiżowej rodziny, która posiadała wieloletnią tradycję. Warto jednak zaznaczyć, że była to tradycja kradzieży, porwań, rozbojów, oszustw i innego rodzaju przestępstw, które na południu były zjawiskiem bardziej znanym kucykom niż na północy.

Lila była swego rodzaju rozczarowaniem dla swojego ojca, nestora mafijnego rodu, który, rzecz jasna, oczekiwał syna. Tolerował ją, ale nie poświęcał jej zbyt dużo uwagi, dlatego większość swojego życia Lila Blacksun spędziła na tym, by o tę uwagę ojca zawalczyć. Dlatego bardzo się starała być dokładnie taka, jaka powinna była być, gdyby była ogierem – biła się, siała terror, zadawała się z typami spod ciemnej gwiazdy, słowem – godny następcą przestępczego tronu.

Jej płeć oczywiście nie ułatwiała jej tego zadania, ale magia potrafi wyrównywać takie różnice – Lila okazała się być utalentowaną czarodziejką i nauczyła się wykorzystywać te możliwości w mało przyjemny dla innych sposób. Z czasem przestępczy, brutalny fach wszedł jej w krew i zaczęła go uprawiać nie dla ojca, ale dla siebie. Zresztą jej rodziciel w tym czasie zdążył się dorobić upragnionych synów (i to z niejedną klaczą), więc straciła szanse na uzyskanie jego uwagi. Dlatego też, co zresztą jest jakże charakterystyczne dla sporej części członków ciemnego światka, zaczęła nienawidzić ojca i odcięła się od niego. Wszak czy to nie nienawiść jest siłą, która wprawia cały ten mechanizm w ruch?

Dziś Lila Blacksun była już szanowaną figurą w przestępczym świecie, znaną ze swej nietypowej jak na kobietę bezwzględności oraz, już typowej, umiejętności manipulowania. Mimo wszystko preferowała proste, brutalne metody, na co pozwalały jej talenty w zakresie magii bitewnej, którymi wzbudzała postrach i posłuch wśród

zdecydowanie większych od niej i silniejszych fizycznie ogierów.

Jej wygląd mocno kontrastował z jej naturą – zwłaszcza jej maść koloru jasnego różu z domieszką fioletu. Krwistą, żywą czerwień jej grzywy można było odebrać w jej przypadku jako sygnał ostrzegawczy. Sama Lila zapewne mogłaby być bardzo urodziwą klaczą, gdyby tylko chciała – uroda jednak nie jest zbyt w cenie dla krwiożerczego bandyty, dlatego też ścinała swą grzywę krótko i nie starała się zakryć makijażem swych blizn, jasno opowiadających historię jej życia, podobnie jak jej uroczy znaczek, którym była kula ognia.

Lila Blacksun była także ambitna. I to właśnie przez ambicję zmierzała teraz do tej zapyziałej wioski, z tym żalosnym jednorożcem przed sobą. Przykro było przyznawać, że cokolwiek od niego zależało, ale istotnie, w tej chwili był dla niej użyteczny. Miał coś, co może dać jej potęgę pozwalającą trząść całym Południem.

Prospector, czyli wspomniany “żałosny jednorożec”, szedł niepewnym krokiem w stronę Brassgate. Bał się tego, co tam może zobaczyć. Kiedy jego życie poszło w tak niewłaściwym kierunku? Jak do tego doszło, że robi coś, co go przeraża i od czego chce uciec jak najdalej? Kiedy jego służba Nauce zmieniła się w... to?

Doświadczony już przez życie jednorożec zagryzł wargi i spuścił głowę, gdyż akurat w tym jednym konkretnym przypadku znał imię swojej zguby. Przy całym swoim racjonalizmie naukowca i małej skłonności do rozrywek, Prospector miał jedną słabość, która doprowadziła go do tej sytuacji.

Hazard. Przekleństwo tysięcy naiwniaków, którzy nie potrafią pogodzić się z rachunkiem prawdopodobieństwa... Dom gry zawsze wygrywa – ale z perspektywy gracza to on zawsze ma dobry dzień, zawsze trzeba się odkuć, w każdym losowym układzie można dopatrzeć się rzekomego wzoru... Hazard jest niczym choroba, która toczy twój rozum – z jednej strony mała część ciebie wie, że to nieracjonalne i że im wcześniej skończysz, tym lepiej, z drugiej... po prostu nie potrafisz tego zrobić. Przypuszczalnie nie chodziło już o pieniądze. Tu chodzi o przeżycia, o te emocje, kiedy obserwujesz tę małą kuleczkę na kole ruletki, patrząc szeroko otwartymi oczami, czy tym razem przyniesie przekleństwo, czy błogosławieństwo...

Tak, Prospector to wszystko dobrze znał. I oczywiście, że żałował. Ale co to zmienia? Na domiar nieszczęścia, Prospector był jednym z tych kucyków, którzy unikają kłopotów, jak mogą – a i tak zawsze się w jakieś pakują. Najwidoczniej niektórzy mają to po prostu w genach.

W przypadku Prospector genetyka sprawiła, że musiał się zadłużyć na znaczną kwotę właśnie u Lily Blacksun, a konkretnie – u jednego z jej podwładnych, robiącym za lichwiarza. Jakby to nie było dostatecznym nieszczęściem – zdesperowany naukowiec nieopatrznie zdradził się ze swymi talentami, które sprytna przestępczyni postanowiła wykorzystać w ramach egzekucji długu.

I tak oto Prospector przykładła kopyto do tego haniebnego procederu, by zaspokoić wierzycieli. Z drugiej strony – kto wie, czym by się to skończyło, gdyby nie mógł się spłacić przy użyciu swych umiejętności? Pieniądzy nie miał, tak samo jak perspektyw na ich zdobycie.

Tak czy inaczej – to długi sprawiają, że robi to, co będzie później przeżywał w koszmarach. Długi, przekłete długi, o których nie zapomni uparty i bezwzględny wierzyciel. Ale przecież Prospector chciał tylko żyć, do stu piorunów! Czy ktoś inny, ktoś bardziej odważny, byłby w stanie postępować inaczej? Jednorożec czuł się jak bezwolna marionetka w rękach złośliwego Losu.

Pogrążony w takich właśnie myślach Prospector doszedł do Brassgate wraz z Lilą Blacksun. Z daleka miasteczko wyglądało na wymarłe – gdy jednak doń wkroczyli, okazało się, że na ulicach znajduje się parę kucyków. Jednakże większość z nich stała w bezruchu – niektóre wykonywały powolne, drobne i niezgrabne kroki przed siebie.

Wszystko zdawało się prezentować zgodnie z oczekiwaniami – do czasu, kiedy Prospector spostrzegł coś, co sprawiło, że jego serce zamarło. Kucyk ziemny leżący w nienaturalnej pozycji pod ścianą budynku z zaschniętą pianą na ustach.

Na nieszczęście, Lila także go spostrzegła i podeszła doń, pochylając się nad nim. Po chwili odwróciła się do Prospector a i warknęła:

– Co to, kurwa, ma być!?

Jednorożec na miękkich nogach podszedł do ciała i również pochylił się nad nim nisko. Spojrzał kucykowi w oko, a następnie poruszył jego nogą – chodziła ciężko, ledwo dając się zgiąć. W końcu przyłożył kopyto do szyi, ale już wiedział, że nic nie wyczuje.

– Nie żyje – powiedział cicho.

– Myślisz, że ja, kurwa, ślepa jestem i nie wiem!? Pytałam, co to ma być!

– Nie wiem...

– To się dowiedz! – Lila groźnie przybliżyła się do Prospector a, z jej oczu

błyskały iskry – Z trupów nie mam żadnego pożytku! Na co mi twój gaz, jeśli będzie zabijał kucyki? To mogę robić sama!

– Nie wiem, nie wiem, dlaczego... Może to przez alkohol? – powiedział Prospector, trącając kopytem leżącą nieopodal butelkę – Hmm... blokada receptorów glutaminergicznych, pobudzenie układu dopaminergicznego... Za dużo czynników, będę musiał zrobić badania...

– Gównu mnie obchodzi, co będziesz robił, ale czegoś takiego ma nie być! – powiedziała Lila, wskazując kopytem na zwłoki – Będziesz miał tu dosyć obiektów do badania.

Po tych słowach oddaliła się, idąc głębiej w stronę centrum miasteczka. Prospector popatrzył za nią i gdy znalazła się w dostatecznej odległości, ponownie pochylił się nad ciałem kuczka leżącego na ziemi. Kolejna niewinna dusza, która będzie go nawiedzać w nocy... Zaczął mówić cicho:

– Przepraszam, błagam, wybacz mi... Wybacz mi, kimkolwiek byłeś, naprawdę, gdybym tylko mógł, to bym do tego nie dopuścił... Nie chciałem...

Jego monolog przerwała Lila, która odwróciła się i krzyknęła:

– Ej, co tam robisz? Próbujesz go wskrzesić swoją potężną magią?

Po czym wybuchła szyderczym śmiechem. Na Prospectorze nie zrobiło to wielkiego wrażenia – zdążył się przyzwyczaić do podobnych docinek już w dzieciństwie.

Prospector cierpiał na przypadłość o nazwie charłactwo – co oznacza, że był rzadkim przypadkiem jednoroźca, który nie posiadał kompletnie żadnych zdolności magicznych. Mówiąc wprost, jego róg służył wyłącznie do ozdoby – Prospector nie potrafiłby zeń wykrzesać nawet najmniejszej magicznej iskierki. Rzecz jasna, jednoroźce będące ofiarami tej genetycznej wady były narażone na szykany i drwiny paradoksalnie nawet większe niż w przypadku kucyków ziemnych, których amagiczność była normalna.

Prospector nie był pod tym względem wyjątkiem i swojego dzieciństwa nie mógł nazwać sielskim i anielskim. Będąc odrzuconym przez rówieśników, miał dość czasu na pogrążenie się w nauce i czytanie książek, co potęgowało jego odizolowanie od reszty. Z czasem pojął, że właśnie wiedza może być jego kluczem do tego, by coś w życiu osiągnąć mimo swojej przypadłości. Nawet jako charłak wciąż dysponował przywilejami przeznaczonymi jednoroźcom, czyli przede wszystkim łatwiejszy dostęp do akademii i uniwersytetów, z którego Prospector zrobił użytek. Wykształcił się na zdolnego naukowca, specjalistę w zakresie nauk ścisłych, ze szczególnym uwzględnieniem chemii, co zdradzał jego uroczy znaczek, którym była kolba wypełniona bulgoczącą

substancją.

To jednak były już stare dzieje, wspomnienia z tego okresu były osnute mgiełką. Tym niemniej Prospector wiele by dał, by do wrócić do tych czasów kariery naukowej, które wspominał jako najlepsze lata swojego życia.

Zresztą, nawet jakby nie były najlepsze, i tak na pewno wolałby je od tego, co jest teraz. Kolejne życia tego naukowca potoczyły się w dziwaczny i nie do końca pożądanym przezeń sposób. W pierwsze problemy zaczął wpadać, gdy zaistniała konieczność wykarmienia rodziny, którą założył – wszak praca dla kogoś takiego jak on nie leżała na ulicy. Potem doszły te jego przekłete nawyki... i oto właśnie stał obok jednego z najgroźniejszych przestępców na Południu.

– Dobra, no to mamy sobie takiego zombiaka – powiedziała Lila, wskazując kopytem na jednoroźca stojącego nieopodal. – Co z nim mogę teraz zrobić?

– Hm, myślę, że... spróbuj wydać komendę.

Lila odwróciła się w stronę otumanionego jednoroźca i krzyknęła:

– Ej, ty! Chodź tu!

Kucyk nie zareagował w żaden sposób. Nie sprawiał wrażenia świadomego swego otoczenia.

– Hm, może łatwiej by było po imieniu... – mruknął Prospector. – Problem w tym, że go nie znamy.

– Uważaj, bo jeszcze będę się pytała jego znajomych – rzekła szyderczo Lila, po czym podbiegła do bezwolnego jednoroźca, uderzyła go lekko kopytem w głowę i powiedziała, wskazując pobliski budynek:

– Ty! Przejdź tam!

Kucyk przez chwilę nie poruszał się, patrząc otępiałymi oczyma przed siebie. Lila już zamierzała powtórzyć polecenie, popierając to mocniejszym ciosem w głowę, ale moment później jednorożec nieśmiało podniósł nogę i zaczął powoli i niezgrabnie iść w kierunku, który mniej więcej zgadzał się z tym, który wskazał czerwonogrzywy jednorożec.

– Cóż, nie jest to zbyt imponujące – mruknęła Lila Blacksun, widząc, jak mankurt doszedł do ściany i zatrzymał się dopiero, gdy w nią uderzył – Taki debil nie jest do niczego przydatny. Wątpię, byśmy byli kwita w ten sposób...

– Może spróbuj magii? – powiedział gorliwie Prospector, który dotąd ukrywał się z tą myślą, ale widząc, że na szali leży jego los, nie wahał się dłużej – Możesz magią kontrolować jego ciało? Albo przekazywać polecenia umysłem?

Lila zastanowiła się przez chwilę, po czym zamknęła oczy, rzucając zaklęcie. Ciałem pozbawionego samoświadomości jednorożca natychmiast wstrząsnął skurcz wykręcający jego ciało w dziwacznej pozycji. Kucyk przekręcił się do tyłu, postawił przednią nogę na ziemię, a potem się wywrócił.

Magiczka pokręciła głową i po chwili zadumy ponownie przystąpiła do czarowania, tym razem jednak zmieniając zaklęcie, co objawiło się mniej jaskrawym i gwałtownym błyskaniem jej rogu. Na efekty w tym przypadku trzeba było poczekać – ogier dopiero po chwili wstał z ziemi na zaskakująco pewnych nogach. Widząc to, Lila kontynuowała czary, sprawiając, że jednorożec zaczął iść to w jedną, to w drugą stronę dość skoordynowanym krokiem.

– Tak... Tak, o to chodzi... – mruzczała z zadowoleniem Lila Blacksun, obserwując skutki swej magii.

Kontrolowany kucyk zaczął wykonywać coraz bardziej skomplikowane i dziwne ruchy. Z energicznego marszu przeszedł do niezgrabnych pląsów i podskoków, okraszonych paroma wywrotkami. Z czasem zaczynało to przypominać jakiś dziwaczny taniec. Lila wydawała się być zadowolona z efektów.

– Tak jest, o to chodzi! O to właśnie chodziło!

Prospector zażenowany odwrócił wzrok od tego “pokazu”. Wstyd mu się robiło, gdy pomyślał, że jest odpowiedzialny za to, co się teraz dzieje z tym biednym kucykiem. Lila tymczasem zmęczyła się i zaprzestała czarów.

– Uf, dobra... Nie powiem, jest to obiecujące. Ale będę musiała jeszcze nad tym popracować. Poza tym, to nadal tylko jeden kucyk. Czeka nas dużo pracy w tym miasteczku!

– Czego jeszcze ode mnie chcesz? – skulił się Prospector.

– Chyba nie myślałeś, że możesz już sobie stąd iść? – Lila uśmiechnęła się kpiąco – Przydasz się jeszcze. Chciałabym sobie poćwiczyć na tych kucykach, a wspomniałeś, że skutki działania gazu przechodzą z czasem, więc będzie trzeba go rozpylać co jakiś czas.

– Ale... Ale, ale ja... – starszy jednorożec zaczął się jękać ze zdenerwowania – Nie mam tu narzędzi, mojego laboratorium...

– Nie wciskaj mi kitu, pajacu – warknęła Lila Blacksun – Mam całe pieprzone miasteczko do dyspozycji. Na pewno znajdziesz tu wszystko, czego trzeba.

Prospector zamilkł, wiedząc, że wszelki opór jest bezcelowy. Lila tymczasem uśmiechnęła się, przymykając oczy w zadumie:

– No właśnie... Całe miasteczko, zupełnie bezbronne... To byłby grzech, gdyby się nim nie zaopiekować, prawda? Tym mieszkańcom ich dobra raczej się już nie przydadzą, czyż nie?

Prospector nie odpowiedział nic, ale Lili oczywiście nie robiło to różnicy:

– Jak tam uważasz. Ja myślę, że czeka nas niezły ubaw. Na początek – trzeba sobie wybrać jakieś mieszkanko. Na szczęście, jesteśmy w jakimś raju i wszystko jest za darmo – Lila znów wybuchła szyderczym śmiechem, po czym obrzuciła wzrokiem całe miasto. – Tamten budynek wygląda przyzwoicie. To chyba jakiś ratusz czy coś. A ty lepiej zacznij się rozglądać za tym, co jest ci potrzebne. Na pewno możesz jeszcze ulepszyć ten swój gaz, czyż nie? I nie zapomnij o tych swoich magicznych pigułkach dla nas. O, i w ogóle możesz też wymyśleć coś na ból głowy, jeśli łaska.

Po tych słowach Lila odeszła w stronę wspomnianego przez nią budynku. Prospector stał przez jakiś czas w milczeniu, by w końcu pokręcić głową z rezygnacją. Czemu zawsze musi wpakować się w jakąś cholerną kabałę?

Choć wydaje się to mało możliwe, las Everfree zdawał się być jeszcze cichszy niż normalnie. W tym miejscu w ogóle było ciszej niż w typowym lesie – ale Everfree z całą pewnością nie było typowym lasem.

Od niepamiętnych czasów o tym przybytku przyrody krążyły różne legendy i opowieści, przeważnie o mrocznym i tajemniczym charakterze. Kucyki od zawsze bały się zapuszczać w to miejsce, a matki straszyły swoje dzieci potworami – tymi prawdziwymi i tymi zmyślonymi – żyjącymi w lesie.

Tym niemniej Everfree odgrywało niebagatelną rolę w historii Ponyville i okolic. Było ono zagadką dla kucyków – zdawało się w pewnym sensie opierać Harmonii. W lesie Everfree pogoda, fauna i flora nie podlegały żadnej kontroli, co sprawiało, że kucyki nie ufały temu miejscu i generalnie starały się go unikać.

Nie było wiadomo, co było przyczyną tego, że las Everfree był taki szczególny. Historia знаła parę kucyków, którzy usiłowali zbadać albo nawet zmienić jego naturę, ale wszelkie takie próby kończyły się niepowodzeniem. Z czasem więc zaprzestano takich praktyk – wszakże był to tylko średniej wielkości las, którego obecność nie była

nikomu solą w oku. Everfree po prostu rządziło się swoimi prawami i kucyki musiały się z tym pogodzić i oswoić z tym miejscem.

Wszak warto zauważyć, że pełniło ono ważną rolę w ich życiu, jako że Everfree było siedliskiem różnych rzadkich, magicznych zwierząt i roślin, które nierzadko wywierały niebagatelny wpływ na to, co się działo w okolicach lasu – jak na przykład drzewne wilki.

Miało to też swoją drugą stronę – w lesie żyły istoty, które raczej nie były przyjaźnie nastawione do innych form życia. Nie było ich jednak aż tak wiele, jak można by wywnioskować z treści różnych strasznych opowieści i jeśli nie prowokowało się ich swoim zachowaniem, a także jeśli umiało się przed nimi bronić – można było wybrać się do lasu bez większego strachu, że coś nam się stanie.

Tym bardziej można było czuć się w miarę swobodnym i bezpiecznym, jeżeli podróżowało się przezeń samopięt. Tak przynajmniej mogłoby się wydawać, ale Spektrum nie potrafił po prostu się rozluźnić. Coś w tym lesie go niepokoiło i nie do końca umiał wysłować, co. Być może chodziło o tę ciszę, która aż dzwoniła w uszach?

Może. Ten las zresztą nie sprawiał przyjemnego wrażenia także wtedy, gdy Spektrum był w nim pierwszy raz, a było to ponad pół roku temu, kiedy szedł przesłuchać tę zebra, Zecorę. Wtedy jednak był tam w towarzystwie zaufanych podwładnych, a nie czterech klaczy.

Cóż, czy mógł powiedzieć, że im ufał? Praktycznie ich nie znał. Z drugiej strony, to reprezentantki Elementów... i Celestia im ufa. Poza tym, dokonywały już niebagatelnych rzeczy... tylko że wtedy była ich szóstka.

Kiedy na nie patrzył, jakoś nie potrafił zobaczyć w żadnej z nich kogoś, na kimś można polegać w kryzysowej sytuacji. No, może poza Applejack. Ona zdawała się być najbardziej twarda i wytrzymała z nich wszystkich. Poza tym, Element Szczerości raczej nie zostawiłby cię w potrzebie, czyż nie?

Co do reszty, wiedział, że będą postępowały na miarę swych możliwości... problem w tym, że te możliwości w oczach Spektruma były wątpliwe.

Twilight Sparkle niewątpliwie była bardzo uzdolnioną magiczką – ale czy jej umiejętności wykraczały poza teorię znaną jej z książek? Z całą pewnością nie miała mentalności osoby odpowiedniej na taką wyprawę. Zbyt się zamartwia i przejmuje

wszystkim, jest znerwicowana, a jednocześnie przy tym sprawiała wrażenie kogoś, kto nie poświęca uwagi rzeczom naprawdę istotnym. Spektrumowi pozostało mieć nadzieję, że jej zdolności magiczne istotnie są na tyle wysokie, by nadrobić te przywary.

Jeśli chodzi o Rarity, wątpliwości co do jej przydatności w sytuacji kryzysowej były jeszcze większe. Prawdopodobnie bardziej była zaabsorbowana staraniami, by się nie ubrudzić lub nie zniszczyć fryzury, niż bezpieczeństwem swoim i swoich kompanów. Spektrum nie wątpił w jej dobrą wolę, ale cóż... był realistą. Rarity była co prawda jednorożcem, ale jej zdolności magiczne nie mogły się równać tym Twilight – dlatego też z pewnością Spektrum nie zamierzał opierać swoich działań na zaufaniu do projektantki mody.

Co do Pinkie Pie... z pewnością była dobrą przyjaciółką i umiała zadbać o pogodę ducha u swoich towarzyszy, ale na kwestię jej przydatności dla praktycznych celów wyprawy Spektrum wolał spuścić zasłonę milczenia.

Nie było co owijać w bawełnę – na tę chwilę Spektrum nie polegał na swojej obecnej kompanii. Już sam fakt, że składała się ona z klaczy, nie wzbudzał w nim zaufania – przez większość swojego życia obracał się w środowiskach męskich. Nie do końca wiedział, czego się spodziewać po towarzyszach podróży.

Spektrum postanowił porzucić te przemyślenia i zwyczajnie dać czasowi działać, by zobaczyć, jak rozwija się sytuacja. Wszak tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono. Rzeczywistość zweryfikuje jego przypuszczenia.

Spektrum nie mógł wiedzieć, że zweryfikuje nawet szybciej, niż myślał.

Cisza lasu Evefree stawała się nieznośna. Jednostajność otaczających krajobrazów i nikłych dźwięków miażdżonej pod kopytami ściółki wprawiała w senny, hipnotyczny nastrój. Oprócz tego, było tu też mroczniej niż zwykle – mocne zachmurzenie sprawiało, że promienie słoneczne miały utrudnioną drogę na powierzchnię. Takie coś sprzyjało utracie koncentracji, a Spektrum wolał być czujnym. Nie zamierzał jednak zagajać rozmowy czy coś w tym guście. O czym niby mieliby rozmawiać?

Podobnych oporów nie miała z kolei Pinkie Pie, która wyskakiwała co jakiś czas z jakąś wesołą, nic nieznaczącą uwagą. Sama najwyraźniej odczuwając niezręczną

atmosferę i chcąc przerwać tę niepisaną znowę milczenia, tym razem powiedziała:

– Hej, co tak cicho jesteście? Chyba nie zamierzacie tak iść przez całą drogę, co? Pomrzemy wszyscy z nudów! W sensie, ja na pewno się zanudzę. Nie wiem jak wy. Twilight mi kiedyś mówiła, że nie wszyscy myślą tak, jak ja, i miała w tym sporo racji. Twilight zazwyczaj ma sporo racji, wiesz, Spektrum?

– Zazwyczaj... to tak jakby “nie zawsze”, czyż nie? – odpowiedział Spektrum, odwracając się z szelmowskim uśmiechem do Twilight. Ta powstrzymała się od komentarza.

– No pewnie, że nie zawsze, bo nie da się mieć zawsze rację! – potwierdziła wesoło Pinkie – To z kolei powiedziała mi babcia. Ale o czym to ja mówiłam... Aha, no tak! Chciałam tylko powiedzieć, byśmy nie byli tak cicho, bo strasznie się tu robi... Powinniśmy porozmawiać o czymś!

Spektrum westchnął:

– Masz jakieś propozycje tematów?

– Hmm... – zadumała się Pinkie – W sumie to nie. Podobno jak się nie ma o czym rozmawiać, to się rozmawia o pogodzie, ale pogoda teraz jest brzydka, więc może lepiej o niej nie mówmy... Albo wiem! – podskoczyła radośnie – Możemy zagrać w jakąś grę! Na przykład w “Dwadzieścia pytań”! Uwielbiam “Dwadzieścia pytań”! Znasz to, Spektrum?

– Taa...

– Teraz się zacznie... – mruknęła cicho Applejack.

– No to super! Możemy w to zagrać – powiedziała radośnie Pinkie, kicając – To ja zacznę! W sensie, ja pomyślę o kimś, a ty będziesz zadawał pytania! No to... – zadumała się przez chwilę – Dobra, możesz pytać!

– Czy to księżniczka Celestia?

Pinkie z wrażenia przy następnym kicnięciu zamiast na nogach wylądowała na pyszczku, mając szeroko otwarte ze zdziwienia oczy.

– Jak... jak zgadłeś?

W odpowiedzi Spektrum krótko prychnął, lekko rozbawiony. Pinkie jednak nie zamierzała odpuszczać:

– Hej, jak to zrobiłeś!? Twilight! On umie czytać w myślach! Czemu nic nie powiedziałaś!?

– Daj spokój, Pinkie – teraz i Twilight była rozbawiona – Nie da się ot tak czytać w czyichś myślach. Zwłaszcza jeśli nie jest się jednorożcem.

– No to jak on zgadł za pierwszym razem?!

– Dokładnie tak, jak mówisz – wtrącił się Spektrum – Zgadłem. Czysty traf.

Wraz z wypowiedzeniem ostatniego słowa ogier nagle przystanął, unosząc kopyto w uciszającym geście. Wszyscy pozostali również przystanęli, patrząc, jak

Spektrum strzyże uszami, by po chwili dać znak, że wszystko jest w porządku i by wznowić marsz. Wtedy Pinkie powróciła do najważniejszej dla niej w tej chwili kwestii:

– Jak to “zgadłeś”? Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Pinkie zmrużyła oczy, mierząc Spektruma wzrokiem. Po chwili powiedziała:

– Nie wierzę ci. Nie gram z tobą więcej.

– Cóż, myślę, że może jakoś to przeżyję.

Różowy kucyk milczał przez czas jakiś. Wytrzymał jednak tylko parę kroków, zanim powiedział:

– Ale powiedz mi, jak to zrobisz!

Spektrum westchnął i już otworzył usta, ale nagle zerwał się i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, by utkwic wzrok w przestrzeni za nimi. Stojąc nieruchomo, po chwili rzekł:

– Tym razem na pewno coś słyszałem.

Wszystkie pozostałe kucyki, rzecz jasna, również przystanęły i spojrzały w stronę, w którą patrzył Spektrum. Przez kilka następnych sekund jednak panowała całkowita cisza. Twilight już miała zapytać, co dokładnie usłyszał ogier, ale w tym momencie jej uszu dobiegł szelest, z którym szedł w parze delikatny ruch liści w krzakach nieopodal. To samo spostrzegli pozostali członkowie grupy.

– Co to jest!? – pisnęła cicho Rarity.

– Cicho. Do tyłu. Powoli. I kontrolujcie tyły.

Klaczę słuchały jego poleceń, wciąż zerkając na krzaki, które wcześniej się poruszyły. Ruch jednak pojawił się obok nich. Po chwili kucyki dostrzegły ciemny kształt, który przemknął w stronę leśnej ścieżki. Moment później, kształt pojawił się na samej wąskiej przestrzeni, na które rzadziej pojawiające się drzewa umożliwiały wygodny marsz. Słońce oświetliło siwą sierść istoty, cztery łapy i przede wszystkim – wyszczerzony pysk pełen kłów.

– Wilk. To tylko jeden wilk – wyszeptała uspokajająco Twilight.

– Jest ich więcej – odrzekł Spektrum, oglądając się za siebie.

Zanim Twilight zdążyła spytać, skąd to wie, sama dostrzegła więcej kształtów poruszających się w leśnej gęstwinie. Po chwili do jednego wilka naprzeciw nich dołączyły trzy kolejne.

Patrzyły na kucyki groźnie, powoli krocząc w ich stronę z nisko opuszczonymi głowami i wyszczerzonymi kłami. Kucyki cofały się przed nimi, starając się nie wywrócić o jakiś wystający korzeń czy coś podobnego. Sytuacja wydawała się tyleż niebezpieczna, co nietypowa.

– Co się dzieje? Będą atakować czy nie? – powiedziała cicho Applejack.
– Dziwnie się zachowują... – odpowiedział Spektrum – Ale mądrzej założyć, że zaatakują.

– To co, uciekamy? – szepnęła szybko Twilight.

Spektrum bystro rzucił okiem za siebie:

– Dwa z tyłu.

Klaczę stanęły i spojrzały panicznie do tyłu. Nie od razu udało im się dostrzec ukryte w haszczach wilki. Wtedy, tak jakby spostrzegły, że zostały zauważone, wyszły na przestrzeń, na której były widoczne, sprawiając złudzenie, że nie kryją się z zamiarem odcięcia drogi.

– Spektrum, co robimy? – spytała coraz bardziej spanikowana Twilight.

– Czujesz się na siłach, by teleportować nas wszystkich?

– Nooo...

– Odpowiadaj szczerze, Twilight. Muszę to wiedzieć.

Lawendowy jednorożec był rozdarty. Odczuwała objawy, które dotyczyły ostatnio wszystkich jednorożców – i wiedziała, że ma to wpływ na jej magię. Z jednej strony skutki nieudanej, zbiorowej teleportacji mogą być co najmniej kłopotliwe. Z drugiej, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdują, może jednak rozsądniej będzie podjąć to ryzyko...

Twilight milczała, wahając się. Dla Spektruma to milczenie było wyczerpującą odpowiedzią:

– Nie będziemy ryzykować.

– A co nam pozostaje?! – nieomal krzyknęła Twilight.

W głowie Spektruma wirowały już różne opcje, przewidywania i możliwości. Pięć kucyków na co najmniej sześć wilków... Nie, podjęcie walki nie wchodziło w grę. Gdyby tu był ze swoimi zaufanymi gwardzistami, nie wahałby się ani chwili. Ale w tej sytuacji nie było takiej opcji. Nie było wykluczone, że może by sobie jakoś poradzili – ale ryzyko było zbyt duże... Lepiej nie sprawdzać tych klaczy w walce od razu w taki sposób.

Zatem jedynym pozostałym wyborem wydawała się ucieczka. Ale wilki są szybkie... zwłaszcza w lesie. Mogliby po prostu nie dać rady. Ba, w zasadzie to bardzo prawdopodobne. Uciekanie może okazać się ślepą uliczką...

Sytuacja, zdaje się, bez wyjścia. Ale była jeszcze jedna możliwość. Można by powiedzieć – kompromis... Wydaje się to szaleństwem z jego strony, czy może nawet głupotą. Ale tu nie do końca chodziło o racjonalny wybór. Tu chodziło o jego obowiązki i jego odpowiedzialność przed księżniczką Celestią.

– Dobra – powiedział Spektrum – Słuchajcie mnie teraz uważnie. Na mój znak odwracacie się i szarżujecie w stronę tych dwóch wilków. Musicie je jakoś staranować, ominąć, nie wiem. Ale razem powinno się udać. Biegnijcie przed siebie i nie oglądajcie się za siebie – to was tylko spowolni. I pod żadnym, absolutnie żadnym pozorem nie rozdzielać się. Żadna z was nie może stracić kontaktu z resztą grupy. Jasne?

Klaczę słyszalnie przełknęły ślinę. Każda skinęła głową. Wilki były coraz bliżej.

– No to trzy... dwa... jeden... TERAŻ!

Wraz z wykrzyknięciem przez Spektruma ostatniego słowa rozpoczął się chaos. Kucyki wykonały zwrot i zgodnie z poleceniem gwardzisty pobiegły, ile sił w kopytach. Jednocześnie wilki z przerażającym skowytom również wyrwały do przodu w ataku.

Spektrum na samym początku jednym ruchem dobył puginału w zęby i wysunął się na czoło grupy. Prosto na niego biegł jeden z tych dwóch wilków, które najwyraźniej nie zamierzały biernie blokować drogi.

Wyglądało na to, że zarówno Spektrum, jak i wilk dążą do bezpośredniej konfrontacji w postaci zderzenia. Mimo iż ogier miał przewagę w masie, wilk nie był zastraszone tym faktem, zdając sobie sprawę z własnych atutów – wśród których prym wiodła paszcza pełna ostrych zębów. Na ostatnich metrach szarży, tuż przed kontaktem, wilk wyskoczył w powietrze, rozdziewając szeroko pysk i wysuwając do przodu łapy.

Spektrum do ostatniej chwili zdawał się dążyć do staranowania przeciwnika, ale w najostatniejszym z możliwych momentów dokonał niebywale zwinnego uniku – obniżył całe ciało i przekręcił głowę w bok tak, by ostrze puginału było skierowane do góry. Wilk nie trafił w ogiera, przelatując nad nim. Po tym Spektrum musiał odzyskać równowagę przy użyciu przewrotu w przód, na tyle zręcznego, na ile stać może kucyka.

Bierny obserwator mógłby pomyśleć, że nie doszło do kontaktu między walczącymi. Jego przypuszczenie jednak szybko obaliłby bolesny skowyt wydany przez wilka jeszcze przed jego upadkiem na ziemię. Bystrzejsze oko dostrzegłoby nawet niewyraźny łańcuszek kropel krwi rozciągnięty w powietrzu. Puginał spełnił swe zadanie.

Tymczasem na drugim “froncie” kolejny z wilków również bez oporów i wahania biegł na klaczę. Najwidoczniej zamierzał zastosować tę samą taktykę, co pierwszy,

szarżując z wyszczerzonym szeregiem kłów. Na jego nieszczęście, biegł prosto na Applejack, która nie zwracała sobie głowy wyrafinowanymi technikami. Kiedy się na nią rzucił, ta z miejsca wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni na przednich kopytach i kopnęła tylnymi, trafiając wilka w głowę i pozbawiając przytomności. Następnie udało jej się dokonać kolejnego półobrotu, by kontynuować ucieczkę, nie tracąc przy tym za dużo prędkości.

Stracił ją jednak Spektrum, który przez swoją akrobację znalazł się lekko za resztą grupy. O to dokładnie mu chodziło. Stopniowo jeszcze spowalniał swój bieg, puszczając klacze przodem tak, by straciły go z pola widzenia. W końcu wyhamował i odwrócił się. Wilki były już bardzo blisko.

Cztery na jednego. Jakby się zastanowić, znajdował się już w takich nieciekawych sytuacjach. Tym niemniej, byłby idiotą, gdyby pakował się w nie bez potrzeby. Cóż, taka już jego dola. Ostatnio, jako przywódca straży przybocznej rzadko używał swych umiejętności walki – do tego służyli niżsi stopniem. Przekona się, czy nie wyszedł z wprawy.

Wilki szarżowały w jego stronę z wręcz szaleńczą furją. Nie trzymały przez to równego szyku – jeden z wilków biegł na przedzie. Chociaż tyle dobrego – działało to na korzyść Spektruma. Przygotował broń i również ruszył do przodu, tylko powoli.

Przy pierwszym wilku dokonał w zasadzie wariacji tego samego manewru, co wcześniej – unik w ostatniej chwili z jednoczesnym zahaczeniem ostrzem krótkiego miecza o przeciwnika. Taktyka ponownie okazała się skuteczna – wilk podzielił los pierwszej ofiary, padając cięty na ziemię. Spektrum zdążył powrócić do odpowiedniej postawy, zanim reszta drapieżników dopadła do niego.

Zwierzęta straciły nieco na agresywności, widząc, co się stało z ich kompanem. Zamiast rzucić się na Spektruma, zwolniły na chwilę, po czym zaczęły tworzyć łuk. Ogier przez chwilę wycofywał się, po to by nagle skoczyć do przodu, by przebić się przez ich szyk, jednocześnie taranując je bokami, kopiąc kopytami i tnąc pugi na odlew. Manewr ten miał cel wyłącznie prowokacyjny – ściągnął w wilki w swoją stronę, czyli teraz przeciwną do tej, w którą pobiegły klacze.

Wilki nie zamierzały już dokonywać bezmyślnych szarż na Spektruma. Ponownie uformowały łuk i zaczęły podchodzić z różnych stron. Ten nagły przypływ rozsądku z ich strony był, rzecz jasna, złą wiadomością dla ogiera. Oprócz tego, zdążył on zauważyć, że wilk ogłuszony wcześniej przez Applejack już się ocknął i zbliżał się nieco chwiejnym

krokiem, by dołączyć do swych pobratymców. Z jednym mógł walczyć bez problemów, skutecznie bronić się dałby radę z dwoma, może nawet trzema – ale cztery podchodzące go wilki?

Teraz już nie chodziło o skuteczną walkę. Mógł już tylko je opóźniać, chroniąc przy tym własną skórę. A potem jakoś się wycofać. “Jakoś” musiało na razie wystarczyć za szczegółowe plany. Miał nadzieję, że jeśli będzie skutecznie się osłaniał, samemu przy tym stanowiąc zagrożenie dla napastników, ci w końcu odpuszczą. Zatem nie mógł się tylko bronić, ale też atakować – inaczej po prostu napastowałyby go, aż padnie z wyczerpania.

Tymczasem już ładnych parędziesiąt sążni dalej klacze biegły tak, jak im polecono – prosto przed siebie, bez oglądania się. Kiedy jednak powoli przestał dobiegać ich uszu jazgot i wycie wilków, zaczęły zwalniać, aż w końcu Applejack rzuciła okiem za siebie – i zahamowała gwałtownie w tym samym momencie:

– Spektrum!

Pozostałe klacze również się zatrzymały i zaczęły panicznie rozglądać się za ogierem.

- Gdzie on jest!?
- Nie ma!
- Dorwały go?!
- Na początku widziałam, że biegł za nami!
- Cisza! – krzyknęła Twilight.

Klaczki dalej stały w miejscu, zdezorientowane i nie wiedząc, co zrobić.

- Musimy się po niego wrócić! – powiedziała stanowczo Applejack
- Przecież kazał nam biec bez względu na wszystko! – rzekła Pinkie.
- Chcesz go tam zostawić?
- Może da radę sam im uciec? – wtrąciła nieśmiało Rarity, wyraźnie nie chcąc ponownie spotkać się z mało przyjaznymi zwierzętami.

Twilight przez ten czas milczała. Najwyraźniej jako jedyna zrozumiała, co prawdopodobnie zrobił Spektrum. Długo myślała po to, żeby w końcu podjąć trudną dla niej decyzję:

– Nie jesteśmy tutaj bezpieczne – powiedziała stanowczo – musicie biec dalej. Więc biegnijcie, ja wrócę po niego.

- Co!?
- Twilight!

– Zaufajcie mi – rzekła czarodziejka, siląc się na spokojny ton – Mam pomysł. Musicie mi zaufać. Jeśli pójdziecie ze mną, to może skomplikować sytuację.

– Twilight, my...

– Żadnych “ale”, nie ma czasu! – krzyknęła w końcu stanowczo – Biegnijcie dalej, znajdziemy was.

Po czym bez słowa pobiegła w stronę, z której wcześniej przybiegły, zanim jej przyjaciółki zdążyły wygłosić jakieś protesty. Te popatrzyły po sobie, wahając się jeszcze przez chwilę, czy jednak nie podążyć za lawendowym kucykiem. W końcu jednak postanowiły jej zaufać tak, jak ich o to prosiła – i podążyły w przeciwną stronę.

Twilight tymczasem przedzierała się przez leśną roślinność tak szybko, jak mogła. Słyszała już szczekanie i warczenie wilków dochodzące z oddali i kierowała się w ich stronę.

Tak naprawdę nie miała jakiegoś wielkiego planu, ale musiała sprawiać wrażenie pewnej i zdecydowanej, żeby przyjaciółki jej posłuchały. Opierała się na jednym pomysle, który był dość ryzykowny i mógł okazać się bardzo trudny w wykonaniu. Ale co innego mogła zrobić? Ten idiota chce się poświęcić. Co one zrobią bez niego? Trzeba go odnaleźć.

Po minucie galopu udało jej się dotrzeć do miejsca, w którym odgłosy walki były już bardzo wyraźne. Czyli na szczęście jeszcze chyba nie jest za późno. Jeszcze parę krzewów do przebycia – i w końcu Twilight ujrzała scenę walki.

Spektrum, cały czas z pugi nałem w zębach, bezustannie znajdował się w ruchu. Przystąpienie choćby na chwilę sprawiłoby, że wilki wskoczyłyby na niego, drapiąc go i dotkliwie gryząc. Ciągłe się wycofywał, starając się, by wilki go nie okrążyły całkowicie, i unikając ich klów i pazurów. Jednocześnie sam zadawał co jakiś czas cięcie swoją bronią, ale w najlepszym razie udawało mu się co najwyżej lekko zranić któregoś z napastników.

Jego plan zawodził – a to dlatego, że przyjął błędne założenie, iż mimo wszystko ma do czynienia ze zwykłymi wilkami. W tych jednak zdecydowanie było coś nietypowego – jakaś szaleńcza zaciętość i agresja, która nie pozwalały im odpuścić choćby na chwilę. Spektrum zaczynał pojmować, że jeżeli sam jakoś nie ucieknie, to one go nie zostawią w spokoju – a powoli zaczynało mu już brakować sił. Nie mógł bez końca wykonywać tego karkołomnego tańca.

Twilight pobiegła ile sił w nogach, choć jeszcze nie bardzo wiedziała, jak ma pomóc. Gdy była już blisko, Spektrum ją zauważył:

– Co ty tu robisz!? – krzyknął niewyraźnie z racji trzymanego puginału.

– Raczej co ty robisz! – wrzasnęła Twilight – Zwariowałeś, że sam z nimi walczysz!?

Gwardzista już miał odpowiedzieć, ale chwilę dekoncentracji wykorzystał jeden z wilków, który skoczył na niego i ugryzł go w kłęb. Spektrum jęknął, przez co wypuścił też z ust swoją broń, która upadła bezgłośnie na ściółkę.

– Ech, skoro już tu jesteś... – sapnął ogier, gwałtownym ruchem całego tułowia zrzucając wilka i koncentrując teraz swe siły na odparcie wilków na tyle, by zdążyć z powrotem dobyć swego oręża.

Twilight zdawała sobie sprawę, że musi mu w tym pomóc, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Nie mogła po prostu użyć magii – po pierwsze, bo istniało ryzyko, że zrani przy tym również Spektruma, a po drugie – musiała oszczędzać swe siły, żeby udało się to, co zamierzała zrobić. W końcu w nagłym przypływie odwagi postanowiła użyć konwencjonalnych metod – ruszyła z kopyta i zaatakowała wilki z tyłu, wbijając się w grupę swoim bokiem.

Drapieżnicy byli zaskoczeni tym uderzeniem, co pozwoliło Twilight nieco rozbić ich szyki. Jednorożec skutecznie wykorzystał ten moment, by zbliżyć się do tulicha Spektruma – i zdążyła trącić oręże przednim kopytem, przesuwając je w stronę ogiera, zanim wilki otrząsnęły się z szoku i przystąpiły do kontrataku.

Spektrum doskoczył do puginału, uderzając głową w stojącego przy nim wilka. Chwycił broń i szybkim ruchem oka zorientował się w sytuacji. Widząc, że Twilight sama wpakowała się w niezłe tarapaty, zdecydował się na kolejny, spory wysiłek – sprężył mięśnie i skoczył nad wilkami dzielącymi go i Twilight, a następnie chwycił ją i agresywnie robiąc bronią, odparł nieco wilki, by wyrwać się z potrzasku. Uzyskując nieco przestrzeni, razem z Twilight odbiegli cwałem na pewną odległość, by zyskać choć chwilę czasu na przegrupowanie.

Twilight Sparkle wyszła z tego w miarę bez szwanku – wilki jedynie zerwały juki z jej grzbietu, czego nawet nie poczuła. Spektrum, wykorzystując te wolne sekundy, zanim wilki ponownie ich dopadną, krzyknął do klaczy:

– Spieprzaj stąd!

– Nie! – odkrzyknęła Twilight – Sam nie dasz rady! Chcę ci pomóc w ucieczce!

– Tak, a zamiast tego ją utru-... – Spektrum urwał nagle, kiedy zdał sobie sprawę, o co chodzi magicznie. Spojrzał na nią zdziwiony i spytał:

– Dasz radę?
– Teraz już muszę! – wrzasnęła histerycznie Twilight, po części dlatego, że wilki już ich dobiegały i walka rozpoczynała się na nowo.

Mając kompana u boku, Spektrumowi powinno być łatwiej, ale wcale nie czuł się swobodniej – odnosił wrażenie, że studentkę magii bardziej będzie trzeba bronić niż na coś się przyda w walce. Ponownie rozpoczynając taktykę uników i szybkich kontrataków, powrócił do dyskusji z Twilight, sapiąc w przerwach:

– Fakt, teraz... nie ma już żadnego... wyboru...

Twilight skoncentrowała się bardziej na unikaniu niż atakowaniu wilków, co i tak średnio jej wychodziło. Na jej skórze zaczęły czerwienić się pierwsze zadrapania.

– Spektrum! Potrzebuję czasu i miejsca! Ja nie dam rady tak...

Ogier wiedział, o co chodzi. Przeprowadzenie teleportacji w takich warunkach mogło przynieść wiele nieprzyjemnych skutków – od steleportowania się dziesięć metrów nad ziemią po oparzenia III stopnia w najgorszym wypadku.

Spektrum przystąpił więc do jeszcze bardziej zawziętego wyprowadzania ciosów, by zapewnić Twilight trochę przestrzeni. Był już jednak wyczerpany i coraz gorzej mu szło unikanie kolejnych drapnięć i ugryzień, nie mówiąc już o dokonywaniu precyzyjnych cięć. Twilight starała się, jak mogła, ale z oczywistych względów nie umiała walczyć wręcz, więc biła jedynie kopytami na oślep, próbując osłonić się przed wilkami.

– Spektrum!

– Daj mi... chwilę...

– Nie! – Twilight była zdesperowana. Wiedziała, że musi ryzykować. – Zrobimy inaczej! Padnij na ziemię!

Widząc, że Twilight zapewne ma jakiś plan, Spektrum wykonał szeroki, okrężny zamach, by choć na chwilę odsunąć od siebie wilczury, po czym usłuchał jednorożca, rzucając się na glebę. Nie spodziewał się, że Twilight również padnie... tylko że na niego.

– Uwaga! – krzyknęła i zamknęła oczy, kumulując magię w rogu.

Po chwili powietrze rozdarł huk, któremu akompaniowała magicznie wygenerowana fala uderzeniowa, która odrzuciła otaczającą dwójkę kucyków wilki na ładnych parę metrów. Twilight natychmiast wstała, nie marnując ani chwili z tego ciężko zdobytego momentu swobody. Wykonywanie dwóch skomplikowanych zaklęć tuż po sobie jest wymagające, ale musi skupić w sobie wszystkie siły. Teraz albo nigdy!

Końcówka jej rogu ponownie się zaświeciła, uwalniając energię potrzebną do dokonania teleportacji. Wilki tymczasem zbierały się już z gruntu i biegły z powrotem do swoich ofiar, zupełnie jak opętane, bezmyślne maszyny. Gdy były już na odległość jednego susu, Twilight i Spektrum zniknęli w oślepiającym błysku.

Spektrum poczuł charakterystyczne dla tego zaklęcia gorąco. Gdy otworzył oczy, zobaczył... wilki, które parę sążni zdeorientowane patrzyły w miejsce, gdzie przed chwilą się znajdowali. Po krótki momencie jednak ich dostrzegły i ponownie skoczyły do ataku.

– ZA BLISKO! – krzyknął ogier.

Twilight jęknęła i ponownie zaczęła wykonywać zaklęcie. Była już na skraju wyczerpania, ale musi dokonać jeszcze tylko tej jednej rzeczy... I nie może tego schrząnąć.

Znów błysk, gorąco – i twarde lądowanie na ziemi wśród drzew. Wszelkie wilcze warczenie i szczekanie nagle ucichły – czyli tym razem się udało.

Uciekli.

Podniósł się z ziemi, z niejaką ulgą wkładając pugi nał do pochwy. Następnie zaczął rozglądać się za Twilight. Po chwili ją dojrzał – miała więcej szczęścia niż on, gdyż wylądowała w krzakach, z których właśnie wychodziła chwiejnym krokiem.

– Twilight, w porządku? – spytał, wykonując krok w jej stronę.

Jednorożec nie odezwał się. Za odpowiedź posłużyło bezwładne osunięcie się na ziemię.

– Jasna cholera! – Spektrum doskoczył, by zamortyzować jej upadek. Z niepokojem sprawdził jej funkcje życiowe – których obecność szczęśliwie stwierdził. Straciła tylko przytomność.

– Pięknie, kurwa, pięknie... – westchnął, patrząc na lawendowego kucyka leżącego na ziemi. Nie mogą tu zostać – naprawdę chciał wydostać się z tego pieprzonego lasu jak najszybciej. Schylił się więc i z użyciem kopyt i głowy zarzucił sobie Twilight na grzbiet w sposób umożliwiający jej noszenie. Jednocześnie syknął z bólu, gdyż ten ciężar boleśnie uwydatnił obecność wszystkich odniesionych w walce ran. Ale nie było teraz na to czasu – dopóki nie zemdleje, opatrzenie się można

zostawić na później. Trzeba było teraz znaleźć resztę grupy.

Jeżeli im też się coś stało, to chyba szlag ich wszystkich trafi. Wspaniale zaczyna się ta wyprawa, nie ma co.